

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
KOMISJA ŚCIGANIA ZBRODNI PRZECIWKO NARODOWI POLSKIEMU

ZBRODNIA KATYŃSKA W KRĘGU PRAWDY I KŁAMSTWA

pod redakcją Sławomira Kalbarczyka



WARSZAWA 2010

ANEKS

Relacje strażników pamięci o Zbrodni Katyńskiej

Stefan Melak

Urodzony w 1946 r., współzałożyciel – wraz z ks. Wacławem Karłowiczem – Kręgu Pamięci Narodowej (1974), a następnie konspiracyjnego Komitetu Katyńskiego (1979), którego staraniem 31 lipca 1981 r. na warszawskich Powązkach wojskowych stanął pierwszy w Polsce pomnik katyński (nocą usunięty przez władze). Wiceprzewodniczący Obywatelskiego Komitetu Budowy Pomnika Katyńskiego przy Zarządzie Regionu Mazowsze „Solidarność”. W stanie wojennym internowany, organizator pielgrzymek, rajdów „szlakiem niepodległości”, niezależnych wykładów i wystaw, związanych nie tylko z tematyką Zbrodni Katyńskiej, publicysta.

Michał Kurkiewicz: Panie Stefanie, kiedy zainteresował się Pan Zbrodnią Katyńską?

Zbrodnią Katyńską zainteresowałem się na początku lat 70. Wynikało to z tego, że szwagier mojej cioci, która mnie wychowywała, Apolonii Rutkowskiej, został zamordowany w Katyniu. Jej mężem był Stefan Rutkowski, a jego rodzony brat Bronisław został zamordowany w Katyniu. Pierwsze informacje o tym, jakie otrzymała moja ciocia w 1943 r., pochodziły z niemieckiej gadzinówki. Okazało się, że wśród ekshumowanych w Katyniu są dokumenty, że zamordowany jest również Bronisław Rutkowski, kapitan. Katyń był dla nas, wszystkich Polaków jakimś wyzwaniem. To był taki moment, w którym trzeba się było określić. Wiedzieliśmy, że za tą zbrodnią kryją się sowieccy funkcjonariusze. Wiedzieliśmy doskonale, że w PRL-u rządzonym przez komunistów obowiązuje sowiecka wersja kłamstwa. I z tym kłamstwem w istocie zmagala się cała Polska. Powszechnie było wiadomo, że zbrodnia jest zbrodnią sowiecką, a mimo to cały aparat państwa był na usługach sowieckiej propagandy. Wobec tego zaczęliśmy spotykać się u księdza kapelana, uczestnika powstania warszawskiego, ks. Wacława Karłowicza na jego plebanii w kościele św. Wacława na Gocławku.

M.K.: Czy to z jego osobą należy wiązać początki Komitetu Katyńskiego?

Tak, właśnie tam zawiązaliśmy podziemny, konspiracyjny Komitet Katyński, który wyłonił się z Kręgu Pamięci Narodowej, funkcjonującego już wcześniej. Z tym że Krąg zajmował się przede wszystkim utrwalaniem pamięci o postaciach, bohaterach czy formacjach, które komuniści starali się przemilczeć, ich dzieło zniekształcić czy też znieważyc w jakiś sposób. Natomiast co do Katynia wiedzieliśmy, że to jest moment bardziej zdecydowanych działań, który będzie wiązał się z ryzykiem odpowiedzialności sądowej czy karnej, być może z więzieniem, z prześladowaniem. Bo zdawaliśmy sobie sprawę, że Rosjanie z tego swojego kłamstwa po prostu nie zrezygnują. Tak właśnie powstał podziemny Komitet Katyński, którego jednym z celów było – poza gromadzeniem dokumentacji, publikacjami, wykładami – również upamiętnienie ofiar Zbrodni Katyńskiej jakimś pomnikiem, krzyżem. Dotychczas były jakieś krzyże drewniane czy metalowe w tym symbolicznym miejscu, które czciliśmy na cmentarzu Powązkowskim – miejsce to nazywaliśmy Dolinką Katyńską – obok pomnika Gloria Victis. Niestety zaraz po postawieniu przez nas jakiegokolwiek znaku pamięci o ofiarach te znaki zniknęły, kiedy wracaliśmy na cmentarz, zniknęły jak kamfora, wyrwane i niszczone przez nieznaną sprawców. Tak zniknął krzyż, który postawiliśmy w 1979 r. Zniknęły krzyże drewniane, metalowe, przygotowaliśmy znak Polski Walczącej i na nim napis mówiący, że ten znak przypomina nie tylko żołnierzy konspiracji, ale i upamiętnia tych, którzy zostali zamordowani na „niehumanitarnej ziemi” strzałem w tył głowy przez sowieckich oprawców.

Jednym z celów naszego komitetu było upamiętnienie solidnym krzyżem, który nie byłby tak łatwy do zniszczenia, a przypominałby stolicy, że Warszawa pamięta o bohaterach,

którzy zginęli męczeńską śmiercią w tych miejscach. Dziś znamy te miejsca, a przedtem wiedzieliśmy, że to jest na pewno Katyń, znaleźliśmy obozy: Ostaszków, Kozielsk, Starobielsk. I to było wszystko, nasza wiedza w zasadzie do tego się ograniczała, no i oczywiście do listy, która została sporządzona przez Niemców w Katyniu w 1943 r. wiosną, po tej ekshumacji, rozpoczętej po 13 kwietnia.

M.K.: I tu dochodzimy do pomnika katyńskiego z 1981 r., postawionego staraniem Komitetu na stołecznych Powązkach wojskowych...

Po prawie dwóch latach starań taki pomnik stanął w Dolince Katyńskiej. To było 31 lipca 1981 r. Pomnik tworzony był bardzo dyskretnie z elementów kamiennych, które przewoziliśmy do garażu Arkadiusza Melaka – mojego brata, mieliśmy garaż przy Olszynie Grochowskiej. O samym montażu pomnika, o przygotowywaniu tych elementów wiedziało zaledwie kilka osób, w tym ksiądz Karłowicz, Arkadiusz Melak, oczywiście Andrzej Melak, ja, no i może jeszcze dwóch kolegów, kuzynów. W ten sposób Arkadiusz pracował przez te kilkanaście miesięcy, pomagał mu oczywiście Andrzej. Kiedy pomnik w elementach był już gotowy, kiedy przygotowany był napis, półmrowej wielkości litery, odlane z brązu: Katyń, Wojsko Polskie, Kozielsk, Ostaszków, Starobielsk i orzeł, wtedy nadszedł czas montażu i zawieszenia pomnika na cmentarz. Nie było to łatwe, więc spotkaliśmy się tydzień wcześniej u mnie na Rembielińskiej, omówiliśmy tę sprawę i uznaliśmy, że jedynym samochodem, który wjedzie bez przeszkód na teren cmentarza, będzie śmieciarka. Jak zauważyliśmy, obserwując cmentarz przez kilka godzin, strażnicy cmentarni w ogóle nie zwracali uwagi na samochody MPO. Brat Sławomir pracował w bazie nr 4 na Pradze przy ul. Inżynierskiej. On i jego kolega Stefan Krzeziński zajęli się transportem – taki był podział pracy, że oni mają przygotować śmieciarkę. Co prawda w ich bazie takich nie było, wobec tego wypożyczyli w tym dniu taki kontener na śmieci z placu Leńskiego (dziś Hallera) i ok. godz. 12 przyjechali pod Olszynkę. Inni ich koledzy mieli też dwie awie, na które załadowaliśmy rusztowania, cement, jakieś deski, łopaty, a 31 naszych młodych kolegów (dwóch było z Lublina, byli z Saskiej Kępy, z Pragi przede wszystkim, byli z Siedlec, bo był również Zygmunt Goławski z synami) zaczęło ładować na śmieciarkę ten pomnik, te płyty (widać dzisiaj – na szczęście zachowały się zdjęcia – jak była to niełatwa praca, płyty ważyły około 900 kilogramów). Załadowaliśmy tę płytę, potem elementy pomnika, no i wjechaliśmy na cmentarz, udało się bez przeszkód. Błyskawicznie rozładowaliśmy i w ciągu dwóch godzin pomnik został ustawiony. Widział to oczywiście kierownik cmentarza, że jest akcja, ale – muszę przyznać – nie przeszkadzał, a nawet dwóch czy trzech pracowników cmentarza przyszło i dopomagało nam. Byli również po godzinie funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, którzy stali w kilkumrowej odległości, nie podchodzili do nas, obserwowali, robili zdjęcia, filmowali. No i kiedy postawiliśmy pomnik, powiesiliśmy obok pomnika na 5-mrowym maszcie białoczerwoną flagę, odśpiewaliśmy *Mazurka Dąbrowskiego* i *Boże, coś Polskę*. Postanowiliśmy, że tego dnia po mszy świętej w kościele św. Jana o godz. 19, po przejściu na plac Zwycięstwa poinformuję, że zamordowani jeńcy polscy, oficerowie mają już swój pomnik. Tak też się stało. Przeszliśmy na plac (dziś Piłsudskiego). Przed Grobem Nieznanego Żołnierza poinformowałem, że taki pomnik stoi. Ludzie byli bardzo uradowani, były słowa podziękowania, niektórzy pobiegli od razu na cmentarz, inni postanowili, że w dniu następnym złożą tam hołd, kwiaty. Jeszcze na tym cmentarzu był zabawny moment: pracownicy Polskiej Kroniki Filmowej, którzy filmowali pomnik Gloria Victis, bo następnego dnia była 37. rocznica powstania warszawskiego, zauważyli, że akcja jest nielegalna i w panice zabierali swój sprzęt i uciekali.

M.K.: Pomnik, jak wiemy, był na Powązkach niedługo. Kiedy Pan się dowiedział, że go nie ma? Jak Pan zareagował?

Następnego dnia przyszedłem na cmentarz, pamiętam, była może godzina 10.00 rano, i patrzę wokół Dolinki Katyńskiej, wokół pomnika Gloria Victis, tam stoją setki ludzi, nie można w ogóle przejść, jakieś krzyki... Nie widzę krzyża, który przecież powinien być wystawać, bo miał ponad 5 metrów wysokości. Pomyślałem sobie: no tak, przewrócili ten krzyż. Podchodzę bliżej i patrzę, a tam nawet nie ma śladu tego krzyża, nie ma śladu pomnika, nie ma płyt... Po prostu ciężkim sprzętem w nocy przestępcy ze Służby Bezpieczeństwa na polecenie ambasady rosyjskiej – jak się potem dowiedzieliśmy – zrabowali ten pomnik i wywieźli w nieznane miejsce. Oczywiście mówiło się oficjalnie, że dokonali tego nieznani sprawcy. Wnieśliśmy skargę do prokuratury na Żoliborzu i, co trzeba przyznać, poparł nas nawet magistrat, chociaż pomnik był stawiany bez ich stosownego zezwolenia. Jednak uznali, że jest to zbezczeszczenie, poparli to nasze pismo. No, ale oczywiście żadne śledztwo nie było w stanie nic wyjaśnić, ani ujawnić prawdziwych sprawców przestępstwa, tej nikczemnej, kolejnej zbrodni dokonanej na pamięci narodowej. Jeszcze tego samego dnia ustaliliśmy z pracownikami Regionu Mazowsze „Solidarności”, że będziemy mieli siedzibę u nich, w regionie, że przechodzimy do oficjalnego działania. Seweryn Jaworski użyczył nam swego pokoju na Mokotowskiej, w którym już pracowaliśmy każdego dnia po kilkanaście godzin. Tam przyjmowaliśmy dokumentację, tam przychodzili ludzie, tam informowaliśmy o samej Zbrodni Katyńskiej. I ja byłem reprezentantem Komitetu w Gdańsku na I Zjeździe „Solidarności” w hali Olivii, rozdałem około 4 tysięcy oświadczeń Komitetu, na jednej stronie był program Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, a na drugiej informacja o Komitecie. Musiało tak być, ponieważ nie mieliśmy specjalnych środków, a koledzy z ROPCio z Gdańska zgodzili się na taką podwójną informację. Zorganizowałem konferencję prasową, na której było obecnych około 100 dziennikarzy krajowych i zagranicznych, poinformowałem, czym jest Zbrodnia Katyńska, że jest to zbrodnia sowiecka, niesłychanie nikczemna, dokonana na bezbronnych jeńcach, że w końcu jest to największa zbrodnia ludobójstwa dokonana podczas II wojny światowej na jeńcach wojennych, dokonana – jak wiedzieliśmy wtedy – na 15 000 oficerów Wojska Polskiego. Padały jakieś pytania, wiem, że byli dziennikarze z Japonii, Włoch, Szwecji i cała rzesza dziennikarzy związkowych – z Jastrzębia, ze Szczecina, z tygodnika „Jedność” z „Solidarności” jastrzębskiej, oczywiście był także przedstawiciel „Tygodnika Solidarność”, wtedy Bohdan Cywiński był zastępcą naczelnego „Tygodnika”, w każdym razie jest notatka, że Prymas Polski przyjął członków Komitetu, udzielał błogosławieństwa, jest informacja o naszym spotkaniu w Gdańsku. Również upamiętnił tę konferencję BIP Nr 200 z 1 października 1981 r., wydawany przez obsługę zjazdu. Uważam, że to było ważne spotkanie, bowiem tych kilka tysięcy gości, którzy przewijali się przez salę zjazdową, kilkuset delegatów, którzy tam byli obecni, miało możliwość spojrzenia także na Zbrodnię Katyńską i nie traktować tego jako prowokacji przeciwko Rosji, ale jako jeden z elementów działalności związkowej, bowiem tylko prawda mogła umocnić naszą pozycję ludzi „Solidarności”, ludzi niepodległości. Muszę powiedzieć, że Region Mazowsze „Solidarności” dwukrotnie, na swoim I zjeździe, a także na II (tuż przed stanem wojennym), który odbywał się na Politechnice Warszawskiej, udzielił nam poparcia. Zapadły uchwały popierające działalność Komitetu Katyńskiego, jak również wzywające władze do zwrócenia pomnika, a jeżeli nie, to domagające się poparcia przez państwo postawienia pomnika w takiej samej formie.

M.K.: Rozumiem, że wsparcie „Solidarności” było bardzo pomocne...

Tak, bo chociaż nie było mowy o zwróceniu, to zaplanowaliśmy wmurowanie kamienia węgielnego i uroczystość 6 grudnia 1981 roku na Powązkach. Przygotowana była tuleja z pocisku przeciwbalniczego, w niej akt erekcyjny podpisany przez około trzysta osób, podpisał między innymi Jerzy Łojek (zaprosiliśmy go do Komitetu), podpisywały rodziny zamordowanych, nasi koledzy, kapelani – ksiądz Wacław Karłowicz (pseudonim powstańcy „Andrzej Bobola”), ks. Antoni Czajkowski, podpułkownik, ps. „Badur”, sekretarz kapelana Armii Krajowej, więzień, który otrzymał 22-letni wyrok w procesie Pileckiego, był także biskup Miziołek, no i podpisał na cmentarzu Andrzej Wajda, a Daniel Olbrychski odczytał wiersz Norwida, tak to wtedy wyglądało. Andrzej Melak, mój brat, wmurował ten kamień węgielny, księża poświęcili. A przed spotkaniem 6 grudnia na Powązkach zostałem wezwany na spotkanie do ratusza. Tam byli panowie z MSW, był również kierownik Wydziału Spraw Wewnętrznych – nazwisko akurat zapamiętałem: nazywał się Krzos, była moja koleżanka Hanna Staszewska, została przez nich atakowana – jakim prawem ma się odbyć uroczystość, kto jej na to pozwolił. Kiedy ja przyjechałem, koleżanka poczuła się różnie, że nie jest osamotniona i że trzeba zrobić czasami tak, jak mówił Jurczyk. Oni mówią: to co, będzie pani nas wieszala na drzewach? Próbowali w jakiś sposób zniszczyć całą tę uroczystość wmurowania kamienia. Więc ja mówię: szanowni państwo, tu nie chodzi o wieszanie, my tylko wmurowujemy kamień węgielny. – No tak, tylko wmurowujecie, cała Warszawa wie, a my nie wiemy, jest to nielegalne. Sprzeczne z prawem. Usłyszeliśmy tysiąc zarzutów, ale nie zatrzymali nas, wobec tego pojawiliśmy się na cmentarzu i ta uroczystość się odbyła, ja ją prowadziłem i myślę, że był to jeden z ważnych elementów pamięci o Katyniu. Tydzień później już byliśmy w więzieniach, był aresztowany mój brat, ja, Bożenka Latoszek, która pomagała wtedy przy pomniku, bo ona robiła rozpoznanie przed cmentarzem, i inni ludzie... To była jedna z ważnych, brawurowych akcji podziemia, zakończona wzniesieniem pomnika, który – jak widać – trochę wstrząsnął sumieniami tej władzy, wystraszył ją również, no i sprawa katyńska zupełnie inaczej wyglądała, był jakiś przełom, mówiła o tym cała Warszawa. Ja później słyszałem o legendach, już jak wyszedłem – to był 83 czy 84 rok, przychodziły wycieczki i słyszałem, jak nauczycielka szeptem mówi uczniom, że tu gdzieś coś helikopterem... więc oczywiście uśmiechałem się. Ale przecież legenda to też jest część życia, jakie wtedy toczyło się w Warszawie, i umacniała tę potrzebę prawdy, umacniała również potrzebę pamięci o ofiarach. Komitet działał, wydawaliśmy szereg książek, między innymi – wspólnie ze Staśkiem Michalkiewiczem – wydaliśmy *Agresję 17 września* Jerzewskiego, czyli Łojka. Wydaliśmy to w nakładzie kilku tysięcy w 83 r., wydawaliśmy tomy *Katyń – synteza*; *Zbrodnia Katyńska w świetle dokumentów*; *Katyń Lida Wilno* z księdzem Karłowiczem i tego było naprawdę niemało. Poza tym już obchodziliśmy w kościele św. Krzyża dzień 13 kwietnia. Zawsze go upamiętnialiśmy mszą świętą odprawioną za zamordowanych.

M.K.: A Służba Bezpieczeństwa w tym nie przeszkadzała?

Przeszkadzała, działała w różny sposób; raz było to brutalne uderzenie gdzieś z tyłu w głowę, ale innym razem działali subtelniej i muszę przyznać, że to było bardziej perfidne. Jak zamawiałem mszę, to w uzgodnieniu z księdzem Karłowiczem. Idę do kościoła Św. Krzyża i daję jakąś ofiarę, a siostra wpisuje do księgi „13 kwietnia”. Ale parę tygodni przed mszą idę do zakrystii i pytam: siostrzo, czy wszystko w porządku? Bo tam już siostra zapisała, prawda? – No co pan, przecież przysłał pan do mnie kobietę i dwóch mężczyzn i zmienił datę z 13 na 9 kwietnia. Ja mówię: absolutnie nie! Proszę natychmiast to przełożyć!

No i siostra przepisała. – Żadnych uwag proszę nie wnosić, siostrzo, i proszę uważać! Siostra aż zdębiała. Ci panowie mieli tupet i bezczelność ich nie opuszczała. Skarżyli się księdzu na mnie, że tu rozrabiam, przekładam msze. Ale nie wiedzieli, jaki mam bliski kontakt z księdzem. Gdyby to był inny ksiądz, to mój los byłby przesądzony. Obrobiliby mnie, uznali za prowokatora czy awanturnika, a ksiądz mówi do mnie tak: jutro oni przyjdą o godzinie 15 do mnie, na ulicę Sępią, a ty przyjdź godzinę wcześniej. Przyszedłem, ksiądz mi zrobił herbatkę, potem kawkę, usiadłem sobie w jego malutkim pokoiku, takim do pracy, a w tym salonie, gdzie ksiądz ich przyjmował, słyszę przed godziną 15: wchodzą dwaj panowie. I słyszę, jak oni mówią, czego to Melak nie wyprawia, że zmienia msze, że w ogóle podejrzany człowiek. W tym momencie nie wytrzymałem, wchodzę i mówię: I co, szmaty? A ksiądz nic, siedzi przy stole... A oni: No, panie Melak, co takiego się stało, my pana odwieziemy do Warszawy... Natychmiast zmiękli, skończyła się dyskusja, ja mówię: dziękuję panom za przewiezienie. I grzecznie sobie poszli. Proszę pamiętać, że takie metody też były. Od tego momentu nie było już żadnych skarg do księdza, już zrozumieli, że się skompromitowali. No więc przychodziliśmy oczywiście do Dolinki Katyńskiej 17 września czy 13 kwietnia. Bo pozostawały nam tylko cmentarze. Mój Boże, nie byliśmy wolni, trzeba było na ulicy – jak 11 listopada, albo na cmentarzu. Tam właśnie mogliśmy czuć się wolni, choć też niezupełnie. I taka uroczystość chyba 17 września w Dolince Katyńskiej: najwięcej to niestety było pań, które tutaj pod św. Anną śpiewały pod krzyżami kwietnymi; wiem, że dwóch kolegów zatrzymali, ja jakimś cudem dotarłem, ale i dotarła telewizja CNN. Więc przemawiam, jest tam może ze 30 osób, mówię o tej zbrodni, coś tam jeszcze, i widzę jak się łapy po mnie wyciągają. A ten dziennikarz od kamery, ten Amerykanin, wysoki na dwa metry, człowiek dobrze zorientowany – jak te łapki bezpieki bliżej mnie to on kamerą najężdża i te łapki się cofają. Chcieli być w porządku, chcieli dokonać jakiegoś prawnego zatrzymania i nie ruszyli mnie. Uroczystość się skończyła, wychodzimy do głównej alei, a ja patrzę, a ci panowie rzeczywiście zamierzają „zdjąć” mnie formalnie, bo od strony bramy. Idzie dwóch panów milicjantów w czapkach, paski już mają pod brodą... No więc ja nie byłem taki dżentelmen, jak niektórzy z naszych kolegów, że wystawiają rączki... Od razu skoczyłem w prawą stronę po tych grobach, ktoś jeszcze za mną, do muru błyskawicznie, jakiś tam z bezpieki biegł za mną i byłem już zmęczony. Ale na szczęście przy murze stała jakaś kobieta, trzymała wiadro. Ja mówię: niech pani przestawi to wiadro do góry dnem. Ona tak postawiła, ja na to dno stanąłem, przeskoczyłem przez ten mur, jechał wolno pociąg towarowy, skoczyłem na schodek i gdzieś w kierunku Obozowej... Ten pociąg zaczął przyspieszać, więc ja myślę: cholera, wyjadę gdzieś nie wiadomo gdzie, ale znów na chwilę zwolnił, wyskoczyłem i tak mi się udało uciec. Natomiast ci panowie musieli mieć jakąś sztukę do aresztowania, czyli żeby się zgadzał rachunek, i niestety capnęli podobnego faceta do mnie, który szedł z żoną, chwycili go pod cmentarzem i wciągnęli do nyski. Facet krzyczał: za co, za co? To oni mu wytłumaczyli, ale ponoć po trzech godzinach go zwolnili – tak mi mówiła koleżanka Grażyna Szymańczuk. A koledzy byli pewni, że to mnie zatrzymali, bo w takich momentach to naprawdę wszystko się dzieje szybko. Potem mnie zaczęli wzywać i pan z pałacu Mostowskich, jakiś prokurator Żyto pyta: no jak to? To po co się Melak boi? Przemawia i ucieka? No więc ci panowie mieli również dobre poczucie humoru, a ja uważałem, że trzeba swoje zrobić i niekoniecznie ich odwiedzać, jeżeli jest możliwość ucieczki. No bo niby po co mamy tam zaszczycać swą wizytą i odczekiwać te godziny w celi albo 48, za parę słów prawdy? O, ja nie byłem zwolennikiem takiego legalizmu... Chociaż różne były metody, bo na ulicy też zatrzymywali i też potrafili wrzucić mnie do samochodu. Generalnie uważam, że w sprawie katyńskiej zrobiliśmy sporo, że ta pamięć o Katyniu w Warszawie była doskonale znana,

ogromną wdzięczność wyrażam nieżyjącemu profesorowi Mieczysławowi Nieduszyńskiemu, żołnierzowi okręgu lwowskiego Armii Krajowej, który był prezesem Archikonfraterni Literackiej. To właśnie pod szyldem Archikonfraterni wydałem jeden z zeszytów, który później był przedmiotem analizy służb rosyjskich KGB.

M.K.: Panie Stefanie, zanim o tych publikacjach, to proszę powiedzieć, jakie były dalsze losy Waszego pomnika i co się działo w Dolince Katyńskiej?

Po rabunku tego pomnika, z datą oczywiście 1940, która była nie do przełknięcia dla ówczesnej nomenklatury i dla Sowietów, komuniści postanowili uczcić na swój sposób pamięć pomordowanych w Katyniu. Postawili pomnik, poświęcony oficerom Wojska Polskiego, spoczywającym w ziemi katyńskiej, zamordowanym przez faszystów niemieckich. Na pomniku – przejmując grozą, że dla usankcjonowania tego fałszu użyto krzyża – wyryto to straszliwe kłamstwo i datę 1941. Musieliśmy natychmiast zareagować. Namalowaliśmy na pomniku dużymi cyframi „1940” czarną farbą, pojawiały się zamalowania czerwoną farbą daty „1941”, śpiewaliśmy – bo przecież można było aresztować jednego czy dwóch ludzi, ale nie można było aresztować 50 starszych kobiet – to przecież hańba byłaby kompletna i blamaż tej władzy – które śpiewały 1 listopada, 17 września czy 1 sierpnia, kiedy były tam tysiące ludzi. Wtedy było najłatwiej. I tak ten pomnik od władzy z tą datą przetrwał aż do 1989 r. Nagle dowiaduję się przez kolegów – bo wtedy telefonu jeszcze w domu nie miałem – że jest podobno nasz pomnik, że go podrzucili na cmentarz. Jak to? Wtedy była tylko „Gazeta Wyborcza”, która mogła coś napisać, innej nie było prasy, to był rok 1989. Pamiętam ten dzień, to było 6 lipca. Jest taki fotograf, Krzysztof Miller, mówię do niego: pojedziesz ze mną na Powązki? Pojechalśmy, patrzmy, a przed cmentarzem leżą zapakowane jak z Peweksu w nowe deski, w celofan, elementy pomnika, no jakby z najlepszego sklepu. Pytam się kierowniczkę: proszę pani, kto to? – ja nic nie wiem, proszę pana, ja chcę żyć. Skoro jest przedmiot rabunku, no to z księdzem wnieśliśmy do prokuratury żoliborskiej zawiadomienie o tym, że należy wszcząć śledztwo. No i co się okazało? Następnego dnia w „Gazecie Wyborczej” ukazał się artykuł, na 1 stronie zdjęcie, jak stoję przy odnalezionym pomniku, sensacja, Wolna Europa też o tym mówiła. No, ale komuna nie rezygnowała. Panowie generałowie, którzy jeszcze wtedy rządzą, nie rezygnowali ze swoich przestępczych działań. Wiem, że na pomniku od Jaruzela, który stał, po prostu zmieniono datę. Tam dodano datę 1940 na płycie, jakoś go przysposobiono, a dla naszego pomnika nie było miejsca. I od tego momentu rozpoczęła się walka o przywrócenie pomnika prawdy, zakończona po kilku latach naszym zwycięstwem, zwycięstwem ludzi „Solidarności”. Przywrócony pomnik stanął 8 września 1995 r. 8 września to jest dzień wielkiego zwycięstwa hetmana Konstantego Ostrońskiego nad Moskwą w roku 1514, data wybrana nieprzypadkowo. Później wojewoda warszawski Antoni Pietkiewicz odsłonił kolejną tablicę, którą sam ufundował. Mówił: ta historia jest tak ważna, że ja ją muszę opisać na płycie. I opisał: że pomnik wzniesiony przez Komitet Katyński, zrabowany przez Służbę Bezpieczeństwa nocą, podrzucony później, został ponownie ustawiony – ku pamięci potomnych. Wymienił tam Arkadiusza Melaka jako jednego z architektów, ks. Karłowicza, mnie, który tam odsłaniał, więc jesteśmy oczywiście wdzięczni wojewodzie Pietkiewiczowi za właśnie taki gest. A więc pomnik powrócił, zakończyło się happy endem. No i muszę przyznać, że ta bezpieka, jakoś sumienie u któregoś z nich drgnęło, skoro ten pomnik – mógł być przecież zniszczony, połamany, a jednak odnalazł się.

M.K.: Wróćmy teraz do Waszych publikacji...

Ten skromny zeszyt (Stefan Melak, *Katyń*, Zeszyt specjalny, 1988) znalazł się w dokumentacji przekazanej przez Jelcyndę i rosyjskich archiwistów i okazało się, że był także przedmiotem analizy KGB. Jest bowiem zdanie – opisuje to potem w komentarzu Walentin Falin, kierownik Wydziału Zagranicznego KC KPZR, że w Polsce ukazał się pod auspicjami Kościoła zeszyt „Katyń”, taka broszura, w której autor pisze, że zbrodnię popełniło NKWD i to wymaga naszej analizy. Tekst tych dokumentów tłumaczył profesor Tomasz Strzembosz. I jestem wdzięczny Archikonfraterni czy też kurii warszawskiej, chociaż po tym stwierdzeniu Sowietów, że Kuria też jest wykorzystywana przez nas, nie mogłem drukować w kurii warszawskiej o Katyniu. Przejęła to kuria kielecka i tam zostało wydanych kolejnych 10 tysięcy takich zeszytów. Innym ważnym wspomnieniem, takim obrazem pamięci o Katyniu, jest wydany przeze mnie i przez panią Alicję Patey-Grabowską, znakomitą poetkę, *Krzyk o świecie* – to wybór poezji o Katyniu. Wśród autorów są wybitne postaci, jest piękny wiersz Zbigniewa Herberta, jest wiersz Stanisława Krzyżaniaka – jeńca Starobielska, który szczęśliwie ocalał, jest wiersz księdza Peszkowskiego, zamordowanego Lecha Piwowara, Bolesława Radzisa – jeńca Kozielska, Władysława Sebyły – jego przepiękny wiersz *Osiem nokturnów*. Są wiersze ks. Jerzego Czarnoty, Michała Estreichera, Jerzego Ficowskiego. Kolejnym naszym wkładem była książka, którą wydali jezuita w Bydgoszczy w 1985 r., gruba księga w pięknych okładkach, przeznaczonych na Pismo św., ale jezuita nie pożałowali tych pięknych okładek – jest to książka *Katyń – synteza*, mówi o sprawie katyńskiej i o zakłamaniu sowieckim, obejmuje raport przekazany przez Kuklińskiego. Tę książkę dedykowaliśmy ku przemyśleniu członkom Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Taka była dedykacja. Kolejną pozycją były dokumenty NKWD, bowiem w kwietniu 1990 r. otrzymałem trzy potężne teki, które trafiły z Moskwy do Belwederu i z Dariuszem Fikusem podpisaliśmy umowę w „Rzeczpospolitej” na publikację tych dokumentów. Bardzo pomógł mi profesor Stefan Kieniewicz, pomogły mi koleżanki z Zamku Królewskiego, tam zorganizowaliśmy sesję, której efektem była kolejna książka – *W 60. rocznicę ujawnienia Zbrodni Katyńskiej* – zbiór materiałów z tej sesji. Pokazaliśmy tu kilka zdjęć istotnych dla historii, np. ten moment, kiedy stawiamy Pomnik Katyński na Powązkach w 1981 r., widać rusztowania, w jakich warunkach to było, ciężkie, a jednak się udało, bo wszystko przygotowane przez Arkadiusza, on był mechanikiem precyzyjnym, więc i to zrobił dosyć porządnie. Jest pokazana Dolinka Katyńska, kiedy wmurowujemy akt erekcyjny, jest podpisanie aktu, jest Jerzy Łojek, ja jestem, Andrzej Szymański, jest manifestacja Komitetu Katyńskiego z 11 listopada 1983 r., 20 tysięcy ludzi – szliśmy z katedry na pl. Piłsudskiego, był wtedy z nami – jak zawsze – ksiądz Stanisław Małkowski. A to jest właśnie 17 września, o którym mówiłem, kiedy ten dziennikarz CNN nas filmował. Jak widać większość to kobiety z AK, które śpiewały. A tak wygląda nowy pomnik katyński, który powrócił i został „wzbogacony” o nowe miejsca zbrodni (których przedtem nie znaliśmy), a także o liczbę 21 857 zamordowanych. I jest takie unikatowe zdjęcie – msza święta w gmachu KGB! Marzyć o tym było trudno, jest na nim ks. Peszkowski, jestem ja, pani Elżbieta Rej, jest Stefan Śnieżko, kolega z Polskiego Radia, jest Jacek Trznadel, jest mój wielki przyjaciel ze Stanów Zjednoczonych Kazimierz Lichnowski z New Jersey – więzień Dachau, jego ojca majora Jana Lichnowskiego zamordowano w Charkowie. I tu powrót tego zrabowanego pomnika i jego pierwszej płyty na Powązki. No i mozaika – Matka Boża Kozielska w Nazarecie, ufundowana przez polskie dzieci, ocalała z łagrów sowieckich. U Ojca Świętego – informujemy go o tej naszej drodze, papież był zachwycony, mówił: tak trzymać i pomagać tym na Białorusi, bo im jest trudniej, macie ich wspierać. A tu kawalerowie Orderu Virtuti Militari u mnie w Komitecie

w wieży kościoła św. Anny, a więc jest o. Adam Studziński, jest Bachórzewski z Londynu, Sawicki z Londynu... to była kapituła Orderu Virtuti Militari, wspaniali ludzie, niestety już nie żyją, byli naszymi gośćmi w 200. rocznicę ustanowienia Orderu Virtuti Militari, zaprosiłem ich do wieży, było ich chyba dwunastu wtedy u mnie. Kolejna publikacja to *Gwiazda wytrwałości* – nazwa znacząca, bo to stare, z powstania listopadowego, odznaczenie, przyznawane tym wszystkim, którzy myślą o Ojczyźnie i którzy poświęcili się walce o niepodległość. I taką „Gwiazdę wytrwałości” przyznaliśmy zamordowanym jeńcom Ostaszkowa, Starobielska, Kozielska i przekazaliśmy ją do kościoła św. Krzyża. Bo ten kościół, tak samo jak kościół św. Anny, czy kościół św. Karola Boromeuszka – to są kościoły, które kumulują w sobie pamięć o Katyniu.

M.K.: A co robił Komitet poza publikowaniem książek?

Przygotowaliśmy wiele plakatów, transparentów, banerów, zorganizowaliśmy około 500 wykładów – od lat siedemdziesiątych do 1995 r. Były to wykłady na niezłym poziomie: ks. bp Ignacy Tokarczuk, Tadeusz Jasudowicz, dyrektor Ossolineum Adolf Juzwenko, nasi koledzy historycy i działacze niepodległościowi, był niedawno zmarły generał Antoni Heda, księża, którzy działali w konspiracji, Teodor Cetys, szef sztabu generała „Wilka” i cichociemny. Więc te wykłady mówiły o tej Polsce, którą komuniści skazali na zagładę, na zapomnienie, na wymazanie z pamięci młodego pokolenia. Ale ta Polska istniała. Jeżeli mówimy o pamięci w Warszawie, to zachowywaliśmy nie tylko pamięć o Katyniu, o Olszynie Grochowskiej, ale i o powstaniu. Bo przecież Muzeum Powstania Warszawskiego powstało dopiero po 60 latach i to dzięki prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu. Przecież obchodziliśmy te rocznice także wcześniej. A co było z 40. rocznicą? To właśnie Komitet Katyński zorganizował w wieży kościoła św. Anny wystawę, było około dwustu osób, trzech skrzypków, akordeon, był Teodor Cetys, który wtedy przemawiał w naszym imieniu, był ksiądz Karłowicz. Odśpiewaliśmy hymn narodowy, ludziom pociekły łzy. Tę 40. rocznicę powstania obchodziliśmy 31 lipca o godzinie 18, potem zorganizowaliśmy wspólnie z Konfraternią sesję naukową o powstaniu w kościele św. Krzyża. W ciągu dwóch dni przybyło tam kilka tysięcy ludzi, wydaliśmy zeszyt okolicznościowy *Wizja Trzeciej Rzeczypospolitej* i zeszyt z tej sesji. Referaty wtedy wygłosili: profesor Tomasz Strzembosz, Marek Drozdowski, o. Jan Wysocki, ksiądz Karłowicz, biskup Miziołek, ja mówiłem o Krzysztofie Kamiliu Baczyńskim i o jego pokoleniu, pokoleniu wyrosłym w Polsce pełnej miłości do odzyskanej wolności, pokoleniu, które pokazało, że słowo i czyn idą w parze, o takich ludziach jak Baczyński, Gajcy, Trzebiński, Stroiński. To tragiczne pokolenie, które zaświadczyło o tej Warszawie, która pomimo epoki śmierci, terroru, żyła normalnie, uśmiechała się, gdzie ludzie się kochali. I chociaż tej Warszawy w dużej mierze nie ma, to jednak jej legenda pozwala nam dzisiaj fascynować się powstaniem, widzieć wartości, które pozostały, które są niezniszczalne. Bo pomimo sterty gruzów, pomimo setek tysięcy zamordowanych jednak pozostało to święte prawo do wolności, którego nikt nie może zakwestionować. Bo jak kiedyś mówił prymas Wyszyński w rocznicę Katynia, a potem powstania warszawskiego: zbyt wysoka była cena odkupienia, byście mogli zostać niewolnikami ludzi.

Nagranie i opracowanie: Michał Kurkiewicz

Henryka Milewska

Urodzona w 1925 r., córka podoficera policji Emila Drobika, zamordowanego prawdopodobnie w więzieniu w Kijowie-Bykowni. Jego nazwisko widnieje na tzw. ukraińskiej liście kateyńskiej. W kwietniu 1940 r. wywieziona do Kazachstanu, wróciła do kraju w maju 1946 r., po wojnie pracowała w bankowości, członkini Związku Sybiraków.

Konrad Starczewski: Gdzie mieszkała Pani przed wojną?

Do roku 1935 mieszkaliśmy w Stanisławowie. W 1935 r. ojca przenieśli do Brzeżan, woj. tarnopolskie. Tam mieszkaliśmy trzy lata. Ojciec, będąc stosunkowo niskim rangą funkcjonariuszem, prowadził sprawy polityczne. Dwukrotnie był na niego zamach w Brzeżanach. Trzeba go było więc z tego terenu usunąć. I tak w 1938 r. został przeniesiony do Kamionki Strumiłowej pod Lwowem. Tam zastała nas wojna.

K.S.: Proszę scharakteryzować sylwetkę i działalność Pani ojca w okresie przedwojennym.

Ojciec był policjantem. Urodził się 28 lutego 1897 r. Skończył szkołę handlową. Świadectwo jej ukończenia (w roku 1912) posiadamy do dziś. Pochodził z Turki nad Stryjem. Jego rodzina miała tam majątek – gospodarstwo rolne. Miał pięcioro rodzeństwa, trzy siostry i dwóch braci. Już w czasie I wojny światowej wstąpił jako ochotnik do wojska austriackiego. Po roku 1918 pracował w żandarmerii, a potem wstąpił do policji i pracował w niej do 1939 r. Tuż przed wybuchem wojny ubiegał się o emeryturę, na którą mógł przejść po 20 latach pracy. Miał nawet taki plan, że otworzy sobie kiosk. Nigdy jednak już tej emerytury nie doczekał.

K.S.: Jakie były losy Pani ojca we wrześniu 1939 r.?

W pierwszych dniach września ojciec wysłał nas do pobliskiej wsi. Było to możliwe dzięki pomocy naszego sąsiada, pana Kokodyńskiego, który prowadził sklep mięsny. Wywiózł on kilka rodzin do tej wsi, również nas. Wróciliśmy do domu po jakimś tygodniu, lecz ojca już nie było.

Po agresji Sowieców przyszedł rozkaz, że cała policja ewakuuje się w kierunku Rumunii. I zaraz, może po tygodniu, pojawił się u nas oficer NKWD. Przyszedł z żoną i oświadczył, że nasze mieszkanie jest mu potrzebne. Nakazał nam wyprowadzić się w ciągu 24 godzin. Byliśmy w rozpacz. Przyszli nam z pomocą rodzice mojego szkolnego kolegi. Powiedzieli, że zdają sobie sprawę z naszej sytuacji, i możemy się przeprowadzić do ich mieszkania. Nim jednak to nastąpiło, niespodziewanie wrócił ojciec. Zdecydował się na powrót razem z kolegą. Byli już bardzo blisko granicy, ojciec doszedł jednak do wniosku, że nie damy sobie same rady na nieznanym terenie.

K.S.: Czy znane są Pani okoliczności dostania się ojca do niewoli sowieckiej?

Ojciec był w domu jakieś 10 dni. Jeszcze mieszkaliśmy wtedy u siebie, bo tamten Rosjanin nie zgłaszał się przez najbliższe dni. Pewnego wieczoru jednak przyszedł Ukrainiec, milicjant. Ostrzegł mojego ojca, że musi uciekać, bo mają w nocy po niego przyjść. Ten Ukrainiec uczynił to, bo miał wobec ojca jakiś dług wdzięczności. Zrobiliśmy tak, że ojciec poszedł do tego Ukraińca do domu, aby tam się schronić. Jak się okazało to był wielki błąd. Ojciec przebywał tam do stycznia 1940 r. W tym czasie moja rodzina (państwo Kosiorowie) załatwiała dla ojca fałszywe dokumenty. Nie skorzystał z nich, ponieważ przyszły już po

aresztowaniu. Te dokumenty miały zrobić z niego kolejarza, co umożliwiłoby mu przedostanie się na teren Generalnej Guberni. Kiedy ojciec przebywał u tego Ukraińca, ja z mamą odwiedziłyśmy go dwa razy. Przyprawdzał nas tam ten milicjant (szedł zawsze kilkanaście metrów przed nami). Pewnego dnia ze wsi Zabuzze przybiegła jakaś kobieta, żeby nas zawiadomić, że ona mieszka po sąsiedzku i widziała, jak Ukraińiec, który dał ojcu schronienie, przyprowadził pod dom NKWD, wskazał ten dom i sam się wycofał. Po prostu ojca wydał. A pamiętam, jak przychodził do nas i brał co mu było potrzebne. Najwyraźniej ukrywał tatę po to, żeby nas tylko wykorzystać.

K.S.: Czy po aresztowaniu ojca utrzymywała z nim Pani jakikolwiek kontakt?

Odkąd zaczęłam chodzić do szkoły, bo wznowiono naukę, nosiłam codziennie ojcu jedzenie. Tak że od godziny piątej stało się w kolejce po kawałek chleba, a potem część zanośliło się ojcu razem z jakąś zupą w menażce.

K.S.: A kiedy kontakt się urwał?

Ojciec był w więzieniu do 21 marca. Właśnie w tym dniu wracałam ze szkoły i przechodziłam koło gmachu sądu, gdzie był więziony. Zauważyłam, że grupki ludzi stoją po bramach. Ktoś dostał sygnał z więzienia, że mają wywozić transport więźniów. Oczywiście zostałam z tymi przygodnymi ludźmi. Czekaliśmy chyba z pięć godzin. Było już ciemno. W pewnym momencie zaczęły podjeżdżać sanie pod to więzienie, enkawudziści odpędzali ludzi. Tłum jednak cały czas starał się podejść jak najbliżej. W końcu ich wyprowadzono. Była to grupa kilkunastu osób. Posadzili ich parami na te sanie. Z przodu siedział woźnica i milicjant, a z tyłu żołnierz z karabinem wymierzonym w ich plecy. W międzyczasie przybiegła mama. Ojciec przechodząc koło nas, powiedział: Przyjeżdż do Lwowa. Po dwóch, trzech dniach mama z moją starszą koleżanką (Zosią Bursztynowicz), której ojciec również był aresztowany, pojechały tam szukać taty. Mama obeszła wszystkie więzienia, ale wszędzie odpowiedź była ta sama – nie ma tu takiego. Tak więc tamto spotkanie z ojcem było ostatnim i tamte słowa były ostatnimi, jakie do nas powiedział. Mimo że upłynęło już tak wiele lat, ja dokładnie pamiętam ten moment, kiedy ojca prowadzili. Wtedy zaczęłam szmatycznie płakać. Pamiętam też, jak w tym właśnie momencie jakiś stary Ukraińiec, którego nazwiska nie pamiętam, ale wiem dokładnie jak wyglądał, podszedł do mnie, poklepał po ramieniu i powiedział: nie płacz, dziecko, Bóg ich ciężko skarze za to wszystko, co teraz robią. To był jedyny ludzki odruch wówczas. Wielokrotnie modliłam się za tego człowieka.

K.S.: Wiem, że była Pani deportowana. Czy mogłaby Pani pokrótce opisać swoje losy na zesłaniu?

Po tym, jak wygoniono nas z mieszkania, zamieszkałyśmy u rodziny mojego szkolnego kolegi, państwa Wąsów. Mieszkałyśmy tam kątem, na werandzie. Tak dożyłyśmy do 13 kwietnia 1940 r. Pamiętam, jak tego dnia mama z naszą gospodynią, której synowie chodzili do tej samej szkoły, poszły na wywiadówkę. Wróciły stamtąd bardzo zdenerwowane. Mówiły, że coś się w mieście dzieje, że jest cała masa furmanek i ludzi, że jest jakieś ogólne poruszenie. Okazało się, że były to przygotowania do wywózek. Wcześniej, gdy była lutowa wywózka, to, tak jak pamiętam, z Kamionki nikogo nie wywozili. Szczerze mówiąc, nie wierzyłyśmy, że nas też mogą zabrać, skoro wzięli już i tak wszystkich mężczyzn. Nie przygotowaliśmy się na ewentualność wyjazdu i wieczorem położyłyśmy się spać. Koło północy słyszemy łomot do drzwi. Przyjechali po nas. Wszedł oficer NKWD, dwóch żołnierzy i dwóch milicjantów. Odczytali nam to rozporządzenie, że nas ewakuują w głąb Związku

Radzieckiego. Byłyśmy w bardzo trudnej sytuacji, ponieważ wszystkie nasze rzeczy były pochowane w różnych miejscach domu gospodarzy, u których mieszkaliśmy. Odnalezienie tego w nocy w takim stresie było bardzo trudne. Można było zabrać sto kilogramów na osobę, czyli nam przysługiwało 200 kilogramów. Myśmy nawet nie wzięły tych stu, bo te rzeczy były dla nas niedostępne. Może gdyby to był dzień, udałoby się lepiej nam spakować. Dali nam na to godzinę. Przeszukiwali nas pod kątem materiałów obciążających. Wszystkie ojca rzeczy przezornie zniszczyliśmy. Udało im się znaleźć zyciorys Mościckiego i jakąś polską książkę historyczną, nie pamiętam tytułu. Został spisany protokół w oparciu o te „dokumenty”. Dowieźli nas saniami do dworca. Przerzucali rzeczy na wagon i jak się zapełnił, to plombowali. W wagonie było nas chyba 54 osoby. Myśmy dostały się na taką górną półkę przy małym zakratowanym okienku. Na początku cieszyłam się, że będzie przynajmniej jakiś widok. W trakcie jazdy okazało się, że to było najgorsze miejsce, ponieważ strasznie tam wiało chłodem. W transporcie jechaliśmy 18 dni. Przed wyruszeniem staliśmy całą noc i cały dzień. Oczywiście nigdy się nie wychodziło z tego wagonu. Potrzeby fizjologiczne załatwiano się na miejscu do dziury wyciętej w podłodze. Ktoś nawet powiesił koc, żeby stworzyć chociaż pozór intymności. Nawet to nie zdawało egzaminu, bo koc upadał przy każdym podmuchu. Droga nasza wiodła przez Łuck. Tam zdaliśmy sobie sprawę, że przed nami właściwie nie ma powrotu. Takie przecucie ogarnęło nas, gdy zobaczyliśmy, że wzdłuż wagonów chodzi ksiądz i udziela absencji. Dał się wówczas słyszeć powszechny szloch. Transport był bardzo duży. Były trzy lokomotywy – na początku, w środku i na końcu. Skład musiał więc być bardzo długi. I tak powieźli nas do Zdobunowa. Tam przesadzono nas na inne tory. Tutaj właściwie ci, którzy mieli jeszcze jakieś nadzieje, wiedzieli już, że nic dobrego nas nie może czekać. W trakcie podróży głównie modlono się i śpiewano. W wagonie jechały głównie kobiety z dziećmi. Mężczyzn było chyba pięciu. Pamiętam, że obok nas jechała kobieta z czworgiem dzieci. Najmłodsze miało 9 miesięcy, a najstarsze 6 lat. Jeść nam prawie nie dawali. Raz na dobę, ale też nie zawsze, najczęściej w nocy, gdy staliśmy na jakiejś bocznej stacji, otwierali drzwi i dwie osoby wrzucały żywność. Ta żywność wyglądała tak, że w jednym wiadrze była gorąca woda, a w drugim trochę kaszy i do tego bochenek chleba. Proszę wyobrazić sobie karmienie kilkumiesięcznego dziecka zimnym pęczakiem. Te dzieci po drodze zaczęły wymierać. W naszym wagonie szczęśliwie żadne dziecko nie umarło. Oprócz małych dzieci bardzo często umierali ludzie starzy. 1 maja dotarliśmy do Pawłodaru. Z chwilą dotarcia nie zdawaliśmy sobie sprawy, gdzie jesteśmy. Zaszokował nas widok Uralu. Był piękny. Można było podziwiać, ale cóż z tego... Po drodze jeszcze spotkałyśmy transport Rosjanek, które jechały do Władywostoku. One bardzo miło wpiły się w naszą pamięć. Wówczas była w Rosji Wielkanoc. One pozbierały gdzieś jajka i do każdego wagonu podały po jednym. W Pawłodarze znaleźliśmy się 1 maja. Wobec tego, że był to właśnie taki dzień, na ciężarówkach ozdobionych czerwonymi chorągiewkami przyjechały nam na przywitanie kobiety. Przywiozły nam wreszcie chleb i same go rozdały z racji 1 maja.

To było małe miasteczko położone w stepie. Zrobiło na nas dziwne wrażenie. Składało się z kilku, może kilkunastu domów dwupiętrowych, reszta to były po prostu ziemianki pozlepiane z darni. Rosjanie mieszkali w tych domach murowanych, a „Kazachy” w tych rudkach. Myśmy tylko przemknęły przez miasto i pojechaliśmy dalej w step. Zaczęli nas rozwozić po miejscach pracy. Dostałyśmy przydział do sowchozu Czorne, 97 kilometrów od Pawłodaru. Komunikacji nie było żadnej. Tylko wyjeżdżona w stepie droga i słupy. Jedynymi zabudowaniami były ziemianki, których dach stanowiły gałęzie posypane popiołem.

Zostawili nas pod kantorem. Pamiętam, jak wszyscy stamtąd przybiegli patrzeć. Chcieli zobaczyć, jak wyglądają polscy „panowie”. Nasz widok bardzo ich rozczarował. Zaczęły podjeżdżać furmanki zaprzężone w woły. Rozwoziły nas po fermach, których w Czornem było siedem. Ferma to był taki mały budynek, w którym mieszkały 2–3 osoby. Akurat w tym sowchozie zajmowano się hodowlą owiec. Myśmy trafiły na fermę, która znajdowała się ok. 7 km od sowchozu. Nasza praca polegała na tym, że dostawało się ok. 250 owiec i drugie tyle małych owieczek, których należało pilnować. Za każdą zagubioną owcę trzeba było płacić. Ja tam pracowałam tylko dwa miesiące, bo wysłali nas na *pasznię*. To była trawa, którą trzeba było skosić. Koszono ją traktorami. Pracowałam jako *pricepszczyk*, czyli obsługa maszyn. Pracowało się od świtu do nocy w strasznym upale. Była jedna przerwa na jakąś „zupinę”, przeważnie z kwaszonych pomidorów i kaszy jaglanej, którą rozwozili po stepie. Rano dostawało się pół kilo chleba. Musiał starczyć na cały dzień. Za całe lato tej strasznej pracy zarobiłam 250 rubli. Na jesieni mogłam sobie kupić za to dwa wiadra ziemiaków lub dwa wiadra otrąb. Już po roku wszystkie ubrania były brudne i zniszczone. Najgorsza była zima, taka, że jak krowa oddaliła się od zabudowań na kilka metrów, to znajdowano ją dopiero na wiosnę, zamarznątą. Po pracy w stepie zwieziono nas na zimę do ferm. Dostałyśmy przydział do jednej lepianki z dwiema innymi rodzinami. Naprawdę nie wiem, jak to się stało, żeśmy tam nie zmarzli. Nie było pieca, nie było nawet czym palić. Jedyne, co można było zrobić, to nakraść trochę przeżutego przez bydło siana. Tylko tym można było palić i nagrzać sobie np. wodę. Dzisiaj trudno uwierzyć, że w takich warunkach można było przetrwać. Nieraz w późniejszych rozmowach z mamą zastanawialiśmy się, jak myśmy to w ogóle przeżyły. No ale, jak widać, udało się. Trzymała nas na duchu modlitwa. Bez przerwy modliłyśmy się i śpiewałyśmy.

K.S.: Czy pamięta Pani jakies szczególnie ważne wydarzenie z tego czasu?

Po dwóch latach, dosyć przypadkowo, zostałam wzięta na kurs traktorzystów. Trwał trzy miesiące i uprawniał do pracy na traktorach zwykłych i gąsienicowych. Uzyskałam więc tytuł traktorzysty razem z ok. dwudziestoma innymi osobami, głównie kobietami. Niestety zaświadczenie to zniszczyła moja mama, już jak wróciliśmy, bo sądziła, że jeszcze mi każą pracować na traktorze. W Czornem znalazłam sobie mieszkanie u pewnej *krasnoarmiejki*. Przyjęła nas do siebie na mieszkanie. Tam były już lepsze warunki. Mieszkało tam jeszcze czworo dzieci tej pani i jedna Polka. Można powiedzieć, że to był normalny dach nad głową, mimo że mieszałyśmy tam jeszcze z dwoma kotami i małym cielakiem.

Zima trwała od października do maja. Pracowało się przy naprawie traktorów pod gołym niebem albo kierowali nas do pracy u ślusarza czy w kuźni (jedyne plus, że tu pracowało się pod dachem). Praca na traktorze była bardzo ciężka. Nie było żadnej odzieży na zmianę. Porcje żywieniowe były cały czas takie same. W lecie najgorsze były owady. Żeby można było w ogóle spać, trzeba było wykopać cztery dołki, wrzucić do nich kiziatku (wysuszony nawóz), położyć się obok i podpalić. Dosłownie słyszało się szum tych owadów. Warto tu wspomnieć, że bardzo często nie wracało się na noc do domów, tylko spało w stepie. Tak przeżyłyśmy 4 lata. Mieszkając u tej pani, nie płaciłyśmy jej. Jednak miałam pewne obowiązki. Po pierwsze musiałam przynosić wodę i zapewniać światło. Mama natomiast opiekowała się jej dziećmi, gdy ta szła do pracy. Światło to była nafta. Trzeba było ją ukraść. Ja zawsze miałam przy sobie pojemniczek na naftę i kiedy dostawałam trochę do mycia jakichś części, to zbierałam na zimę. Nauczyłam się nawet prząść. Pewien człowiek, jeden z naszych, zajął się szewstwem. Zrobił dla mnie takie ochraniacze na nogi (za zelówkę służył kawałek pasa transmisyjnego), bo trudno to nazwać butami.

Jeśli chodzi o zaopatrzenie w żywność, było to strasznie głupio zorganizowane. Otóż wszystkie plony z sowchozu odstawiano do Pawłodaru. I stamtąd dopiero przywożono do nas przydział, jaki przysługiwał sowchozowi. Do transportu w czasie wojny wykorzystywano tylko jedną ciężarówkę. Jak się zepsuła albo duży śnieg zasypał drogi, nie otrzymywaliśmy chleba nawet przez 10 dni. Zamiast chleba dostawaliśmy skromny przydział mąki (25 dkg), który odkładało się na czarną godzinę. Miałam też wypadek, kolega niechcący rzucił młotkiem tak niefortunnie, że przeciął mi żyłę na nodze. Leżałam przez 5 dni bez przydziału chleba. Pewnego dnia noga tak opuchła, że nie wiedzieli, co ze mną robić. Ostatecznie zawieziono mnie do Czornego, gdzie obejrzał mnie felczer. Stwierdził, że wdała się gangrena i skierował na amputację do Pawłodaru. Wówczas zaprzyjaźniona z nami Polka, Zofia Tomczewska, postanowiła mi tę nogę uratować. Zrobiła maść, już nie pamiętam z czego, i robiła mi opatrunki. Dzięki niej noga została uratowana. Innym razem traktor przygniół mi nogę do pługą. Takie wypadki często się zdarzały. Pamiętam też pożar stepu. Zrobiło to na wszystkich ogromne wrażenie. Mogło to się zresztą dla mnie bardzo źle skończyć. Mógł grozić mi sąd. Ktoś bowiem miał donieść, że pożar ten wywołały Polka i Niemiec. Na szczęście tamtejszy brygadzysta zaręczył swoim słowem, że widział, jak jakiś Kazach jadąc na furmance, rzucił niedopałek. Kary były wówczas bardzo wysokie. Na przykład nasza koleżanka dostała wyrok pięciu lat więzienia za to, że miała trochę zboża w kieszeni. Pod koniec naszego pobytu przybyło kilka osób z łagrów. Liczyliśmy, że może i ojciec się pojawi. Niestety. Poznałyśmy jednak pana Jana Tomczewskiego, który bardzo nami się opiekował. Pracował przy wyrębie tajgi i tam drzewo zmiażdżyło mu nogę. Kiedy przyszła amnestia w 1941 r. znalazł się właśnie na terenie Kazachstanu.

K.S.: Czy do Pani, do rodziny docierały informacje o tworzeniu armii Andersa?

Wiadomości o tym, że tworzy się jakaś armia, docierały do nas drogą okrężną. Po dwóch-trzech miesiącach dotarła do nas informacja, że w Pawłodarze tworzy się Delegatura Ambasady RP, która ma iść nam z pomocą, ale pomoc właściwie była żadna. Przychodziły rzeczy amerykańskie, które szły na opłacenie się ludzi tam na miejscu w Pawłodarze. To, co dotarło do sowchozu, to już były marne resztki. Dzieci dostały paczkę kakao, jakąś torebkę ryżu. Ale była to kropla w morzu. Ja dostałam parę amerykańskich butów wojskowych. Wywalczył je dla mnie ten pan Tomczewski. Miałam je jednak bardzo krótko, kilka miesięcy. Stało się tak dlatego, że moja mama zachorowała na żółtaczkę. We wsi była izba porodowa i tam przyjmowali też ciężkie przypadki chorych. Leczyła tam lekarka Niemka. Powiedziała mi, że najlepiej będzie, jeśli kupię mleko. No i ja te buty sprzedawałam za 30 litrów mleka, żeby mama codziennie dostawała półlitrową porcję. I taka to była ta pomoc. Muszę też przyznać, że panowały w tych władzach specyficzne stosunki. Tam dostały się osoby pochodzące z wyższych sfer: panie sędziny, adwokatowe, rotmistrzowe, kapitanowe. One uważały, że skoro Niemcy mordują naszą inteligencję, to ich obowiązkiem jest ratowanie tej, która jeszcze znajduje się na wschodzie. Wobec tego my, można powiedzieć ten gorszy element, musimy sami dawać sobie radę.

Po wycofaniu się armii Andersa do Iranu znów stałyśmy się obywatelkami sowieckimi. To był też bardzo ciężki moment, bo traciło się w zasadzie ostatnią nadzieję na powrót. Ja miałam nawet nadzieję, że pójdę do tego wojska. Jednak moja matka, będąca bardzo słabą istotą, błagała, żebym została. No i zostałam, na parę lat – jak się okazało.

K.S.: A jakie były okoliczności Pani powrotu do Polski?

W 1946 r. dostałyśmy pierwszy list z Warszawy, od brata mamy. Pisał, że jeśli uda nam się wrócić, to on się nami zaopiekuje. Transport był długo przygotowywany. Wyruszyłyśmy z sowchozu 1 maja 1946 r., a w Warszawie byłyśmy 3 czerwca. Mimo, że wszy nas objadały, to była już zupełnie inna podróż. Tym razem była jakaś nadzieja. Warto wspomnieć, że tak jak przy wyjeździe z Polski ksiądz udzielał abszolucji wzdłuż wagonów, tak również w czasie powrotu na stacji w Pawłodarze, ku naszemu wręcz zachwytowi, przyszedł do nas w towarzystwie kilku starsuszek ksiądz z tamtejszej cerkwi. Pomodlił się z nami i pobłogosławił na drogę. To było bardzo wzruszające...

3 czerwca wylądowałyśmy więc na Warszawie Zachodniej, w barakach PUR-u¹. Byłyśmy w grupie, która oddzieliła się od tego głównego transportu z Pawłodaru. Były z nami jeszcze trzy rodziny. Od PUR-u każda osoba dostawała pomoc – 20 zł. Kupiłyśmy sobie za to z mamą dwa bochenki chleba. Ja miałam iść na miasto i szukać rodziny. Adresów żadnych nie znałam. Wiedziałam tylko, że wuj pracował w Banku Gospodarstwa Krajowego. W końcu dotarłam do siedziby tego banku. Z początku nie chciano ze mną rozmawiać, po prostu ze względu na mój wygląd. Dopiero, gdy powiedziałam, że przyjechałam z Rosji, potraktowano mnie poważnie. Woźny zaprowadził mnie do mieszkania wuja, na Rozbrat. Tam doprowadzono mnie do porządku i poszłam z babcią po mamę na dworzec. Rodzina wuja, Henryka Maurera, bardzo nam pomogła. Dzięki nim mogłam rozpocząć pracę i nowe życie.

K.S.: W jaki sposób dowiedziała się Pani o Zbrodni Katyńskiej?

Od rodziny. Po powrocie do Warszawy.

K.S.: Z kim Pani rozmawiała o sprawie Katynia w czasach PRL?

Tylko w domu rodzinnym. To był temat dość często poruszany.

K.S.: Czy zetknęła się Pani z informacjami o ustaleniach komisji katyńskiej Kongresu USA z lat 1951–1952?

Dopiero w latach 90. Wcześniej nigdy o tym nie słyszałam, nawet od znajomych czy rodziny.

K.S.: Czy spodziewała się Pani jednoznacznego wyjaśnienia sprawy Katynia w związku z wydarzeniami roku 1956 r. w Polsce?

Czuło się pewne odprężenie, ale – szczerze mówiąc – raczej większych nadziei w sprawie ojca nie miałam.

K.S.: Czy była Pani kiedykolwiek szykanowana jako członek rodziny ofiary Zbrodni Katyńskiej?

Nie. Nawet obszerny list z prośbą o wyjaśnienie losów mego taty, który napisałam do konsulatu w Kijowie w 1959 r., nie spowodował żadnych konsekwencji negatywnych, a nie ukrywam, że takowych się spodziewałam.

¹ W PUR, czyli Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym, rejestrowali się po wojnie Polacy wysiedleni z anektowanych przez ZSRS ziem wschodnich Rzeczypospolitej, które po 1945 r. nie weszły w skład RP, oraz osoby wracające do kraju po wywóźce w głąb ZSRS. Placówki PUR były ulokowane na terenie całej Polski.

K.S.: Czy była podawana „oficjalna” wersja śmierci Pani ojca (np. nieprawidłowa data śmierci w orzeczeniach sądowych, USC, w nekrologach na nagrobkach, błędne okoliczności śmierci w życiorysie)?

Nie. Mogę jedynie powiedzieć, że we wszystkich dokumentach i listach, jakie do mnie przychodziły, za datę wywiezienia ojca z Kamionki Strumiłowej podaje się 20 marca 1940 r. Mnie się jednak wydaje, że to był 21 marca.

K.S.: Czy mogłaby Pani opisać pokrótce swoje inicjatywy dotyczące poszukiwań ojca?

Próby odnalezienia ojca czy zdobycia informacji o jego losie podejmowałam głównie w drugiej połowie lat 50. i oczywiście w latach 90. Staralam się robić co mogłam, aby go odnaleźć. Zachowałam całą dokumentację związaną z tymi poszukiwaniami. Pierwszą próbą było zamieszczenie ogłoszenia w prasie angielskiej w roku 1952. Pomogła mi w tym rodzina, którą tam miałam. Później w roku 1956 wysyłałam prośbę o odnalezienie mego taty do PCK. Odpowiedź na ten list, niestety negatywna, przyszła w roku 1960. W roku 1959 postanowiłam napisać do konsulatu PRL w Kijowie. Oczywiście liczyłam się z tym, że poprzez ten list ujawniam się niejako przed władzą komunistyczną. Jednak czułam, że trzeba coś zrobić bez względu na konsekwencje. Odpowiedzi od konsulatu nie dostałam. W kolejnych dekadach nie podejmowałam już żadnych inicjatyw. Dopiero lata 90 dały nowe możliwości. W 1991 r. napisałam list do Okręgowej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Łodzi. W 1994 napisałam do tygodnika katolickiego „Zorza”, gdzie drukowali listy zamordowanych, z prośbą o ustalenie, czy nie ma tam również nazwiska ojca. W tym samym roku napisałam ogłoszenie do pisma „Sybirak”, że poszukuję mego taty. Pojawiło się ono w numerze 10. pisma.

K.S.: Jak już te poszukiwania dobiegły końca, kiedy dowiedziała się Pani, jaki los spotkał ojca?

To był właśnie rok 1994. Wtedy to Prokurator Generalny Stefan Śniezko zamieścił m.in. w „Życiu Warszawy” apel o zgłaszanie się rodzin zamordowanych w Kijowie-Bykowni. Napisałam do niego 1 lipca 1994 r. i dostałam odpowiedź potwierdzającą, że nazwisko mego ojca znajduje się na tzw. ukraińskiej liście katyńskiej. Potem posypały się listy od różnych instytucji, a nawet osób prywatnych, w których informowano mnie o tej liście i o tym, że nazwisko mego ojca na niej figurowało. Mimo że wiedziałam już, jak okrutny los go spotkał, postanowiłam dalej dowiadywać się, w jakich okolicznościach zginął i gdzie może być pochowany. 10 grudnia 1998 r. wysyłałam list do Archiwum MSWiA z prośbą o wyjaśnienie losów ojca. Dostałam odpowiedź, że prawdopodobnymi miejscami stracenia są: Kijów, Charków i Chersoń. Napisali też, że egzekucja nastąpiła najpewniej wiosną 1940 r. Czułam jednak, że tak naprawdę nikt nic nie wie, że tej prawdy w takiej postaci, jaką ja chciałam uzyskać, nigdy nie uzyskam. Za przykład niech posłuży pismo z 2004 r. Biura Informacji i Poszukiwań PCK. W liście tym przekazano mi informację z Ukraińskiego Czerwonego Krzyża o dacie aresztowania ojca i czasie pobytu w więzieniu w Kamionce Strumiłowej. Nic ponad to, co wiedziałam już od dziesięciu lat. Napisano też, że Rosyjski Czerwony Krzyż nie znalazł żadnych informacji dotyczących mego ojca. Naprawdę trudno jest mi uwierzyć, że nic już nie ma w ukraińskich czy rosyjskich archiwach na temat mego taty.

Marek Piskorski

Urodzony w 1947 r., wnuk gen. Leona Billewicza (jeńca Starobielska, zamordowanego w 1940 r. w Charkowie) i Henryki Billewicz z d. Grabowskiej, przedsiębiorca.

Michał Kurkiewicz: Panie Marku, jaki jest Pański związek rodzinny ze Zbrodnią Katyńską?

Nazywam się Marek Piskorski, jestem synem Ireny Piskorskiej z domu Billewicz, córki generała Leona Billewicza, który był uwięziony w obozie starobielskim i został zamordowany w budynku NKWD w Charkowie. Dowiedziałem się o tym od mojej mamy, która przekazywała mi te informacje, kiedy jeszcze żyła, bo zmarła w 1958 r., ja miałem wtedy 11 lat. Stąd też moje informacje nie są gruntowne czy wyjaśniające wszystko do końca. Właściwie mogę tylko opowiedzieć to, co pamiętam z przekazów rodzinnych, także od ojca, który też w pewnym momencie był wieziony pociągiem przez Rosjan na wschód z innymi oficerami, ale szczęśliwie zdążył wyskoczyć z transportu. Moja mama i tata, byli wtedy narzeczonymi, wyruszyli na poszukiwanie dziadka na tereny wschodnie i zatrzymali się w Bielsku Podlaskim, bo tam informacje się urwały. Tam też wzięli ślub 27 grudnia 1939 r.

M.K.: A czy znane są Panu przedwojenne losy Pańskiego dziadka?

Tak, dziadek był w polskim wojsku od 1918 r., bo przedtem był oficerem rosyjskim, ukończył szkołę junkrów w Kijowie, a potem Oficerską Szkołę Piechoty w Petersburgu. Brał udział w interwencji rosyjskiej w Chinach w 1900 r., później w wojnie rosyjsko-japońskiej w 1904 i 1905 r., a później, jak wybuchła I wojna światowa, walczył gdzieś na froncie wschodnim – tak to się nazywało, nie pamiętam dokładnie gdzie. Już od 1918 r. był w Polsce. Pierwsza jego funkcja to dowódca okręgu wojennego Radom, otrzymał awans na stopień generalski w 1920 r. ze starszeństwem od czerwca 1919 r. Od stycznia 1919 r. był dowódcą 11. pułku strzelców wielkopolskich. W wojnie 1920 r. dowodził 23. brygadą piechoty. Od 1921 r. był komendantem Obszaru Warownego Brześć nad Bugiem, w stan spoczynku przeszedł 30 czerwca 1927. Wtedy zamieszkał w Warszawie.

M.K.: Ale w 1939 r. znów znalazł się wojsku...

Tak. Zgłosił się, nie został zmobilizowany, bo miał prawie 70 lat w tym momencie, zgłosił się bodaj do sztabu Naczelnego Wodza i został mianowany komendantem garnizonu Dubno na Wołyniu, on zresztą właściwie stamtąd pochodził. Urodził się w 1870 r. w majątku Werbiczo na terenie Wołynia.

M.K.: A znane są Panu losy dziadka w czasie wojny 1939 roku?

Założył mundur i powiedział rodzinie, że jedzie się zgłosić do wojska. Informacji żadnych później nie było, to wszystko trwało krótko, wiadomo było tylko to, że został tam komendantem garnizonu Dubno – to już wiem z publikacji historycznej.

M.K.: A skąd Pańska mama mogła się dowiedzieć o jego losie?

Z pocztówek, które przysyłał ze Starobielska. Bo do tej pory o jego losie nic nie było wiadomo. Pocztówki są z 23 października 1939 r. i 20 marca 1940 r. W tej marcowej padło zdanie:

„nie będę długo pisał, bo mam nadzieję, że się po prostu zobaczymy”. Może wywozili niektórych i myśleli, że jadą już do domu¹.

M.K.: Te pocztówki to był jedyny kontakt rodziny z Pańskim dziadkiem?

Tak, ale dziadek otrzymywał też korespondencję od mamy. W tej późniejszej pocztówce padło zdanie, że bardzo się cieszy ze ślubu moich rodziców. To znaczy, że mama wcześniej mu o tym pisała. I te pocztówki to są jedyne ślady po jego istnieniu, innych nie ma.

M.K.: A kiedy Pańska rodzina dowiedziała się o Zbrodni Katyńskiej jako czymś pewnym?

Tak mi się wydaje, jakbym to wiedział od zawsze. Ale kiedy rodzice? Chyba bardzo wcześnie...

Konrad Starczewski: Niemcy ogłosili to odkrycie grobów katyńskich w „gadzinówkach” w 1943 r., czy wtedy?

Pewnie tak, chociaż nie było mnie wtedy jeszcze na świecie. Ale rodzice wiedzieli...

M.K.: A czy rodzice słyszeli o komisji Maddena, która badała temat w USA w latach 50.?

O ile pamiętam, nic o niej nie było wiadomo.

M.K.: Mamy tu dokument, pismo z PCK z 1957. r. Czyli rodzice szukali informacji oficjalnej, od władz polskich?

Tak, te pierwsze poszukiwania nie były długie, w latach 50. rodzice chcieli dowiedzieć się czegoś oficjalnie o dziadku i zgłaszali się do Polskiego Czerwonego Krzyża. Po wieloletnich staraniach przyszła informacja z PCK, że właściwie na ten temat nic nie wiedzą. Były też takie informacje, które słyszałem w różnych rozmowach rodzinnych, że jak się tworzyła w Związku Radzieckim armia Andersa w 1941 r., to podobno jakiś oficer, który kiedyś miał kontakt z dziadkiem, bodaj był jego adiutantem, zwracał się do jakichś władnych czynników rosyjskich. I wtedy usłyszał, że nie mogą udzielić żadnej informacji, ale że na pewno żyje, został wywieziony na północ na Nową Ziemię. To była oczywiście nieprawda.

M.K.: Czy sprawa Zbrodni Katyńskiej była jakoś podejmowana w rodzinie, wśród znajomych?

Dla nas tłumaczenie, że to zrobili Niemcy... Od razu na podstawie tych pocztówek było wiadomo, że to nie Niemcy. Chociaż ten obóz nie miał nic wspólnego z Katyniem, bo ich mordowano w zupełnie innym miejscu, a Niemcy odkryli tylko Katyń, te inne obozy odkryto później².

M.K.: W Pańskiej rodzinie ten temat był oczywisty, a jak było w kręgu znajomych, „na zewnątrz”?

Wiem, że to nie była skrywana tajemnica. I przyjaciółki mojej mamy z lat przedwojennych też coś wiedziały na ten temat, rozmawiały o tym, przecież wiedziały, że dziadek przysłał stamtąd kartki... Tylko że nie było gdzie się na to poskarżyć.

¹ Polscy jeńcy wywiezieni wiosną 1940 r. z obozu w Starobielsku i innych miejsc uwięzienia do miejsc kaźni nie znali przeznaczenia transportów i z reguły spodziewali się poprawy swojego losu.

² Jeńców obozu w Starobielsku zamordowano w więzieniu NKWD w Charkowie, a ich ciała ukryto na obrzeżu Charkowa w okolicy wsi Piatichatki, co zostało ujawnione dopiero w początku lat 90. XX w.

M.K.: A czy zdarzało się – raczej Pańskim rodzicom – że ktoś był szykanowany, post-ponowany jako członek rodziny ofiary?

Nic takiego nie było, w każdym razie nic na ten temat nie wiem. To znaczy było niedocenianie stanowisk, przedwojennych stopni generalskich – bo babcia dostawała od państwa jakąś znikomą rentę po dziadku, to mogło być dzisiejsze 150 złotych, choć trudno to przeliczyć. Tylko nie wiem, czy to dlatego, że dziadek był generałem, czy że był zamordowany na wschodzie.

M.K.: Czy może znane są Panu przypadki fałszowania oficjalnych dokumentów, na przykład podawania innej daty czy miejsca śmierci?

Nie, nie znam takiej sytuacji. Chyba że ten Czerwony Krzyż. Bo pisma od rodziców szły, cały czas do nich do biura ktoś szedł się dowiedzieć, co i jak, a zawsze mówiono, że nikt nic nie wie.

K.S.: Wspominał Pan o historii brata Pańskiej babci, który też był ofiarą Zbrodni Katyńskiej...

To był Władysław Grabowski, brat mojej babci, żony Leona Billewicza. Ukończył w 1930 r. Politechnikę Warszawską, pracował w jakiejś kompanii naftowej, no i w stopniu kapitana też został zmobilizowany, trafił do Katynia, ale gdzie zginął – tego nie wiem, w każdym razie Władysław Grabowski figuruje na liście katyńskiej. Więc moja babcia straciła na wschodzie męża i brata.

Nagranie: Michał Kurkiewicz, Konrad Starczewski; opracowanie: Michał Kurkiewicz